Ner 4. Kraków, 28go Stycznia. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Zob. r. 1861 Nr. 1, 2, 4, 7, 15, 20, 22 i 42).

Jednym z grzechów społecznych jest niezawodnie wyszydzanie *starych panien.* Grzech ten popełnionym zostaje bez zastanowienia się, nieoględnie, bez wiedzy — że się tak wyrażę — rozumu i serca. Dzieci przejmują to od starszych, i w małych już dziewczynkach nieci się obawa przedwczesna i wstręt, by nie zostały *staremi pannami.* Zapewne, że do przeznaczenia kobiety należy być żoną i matką; ależ to nie jest jej *wyłącznem tylko* przeznaczeniem. Winna być zarazem córką i siostrą. A winna być córą i siostrą i w najrozleglejszem znaczeniu tego wyrazu: córą spólnej matki naszej, siostrą tych wszystkich, którzy z nią na jednej zrodzili się ziemi; ogniwem potrzebnem, łączącem, silnem we wielkim łańcuchu społecznem. Niechaj sobie powtarza: „Jeżeli Bóg tobie odmówił związków rodzinnych, jako żona i matka, to ich szukaj we wielkiem kole swego narodu.“ — Cel taki każda matka dziewczynce swojej wytykać powinna, bo nieświadome są wyroki Boże, bo niepodobną jest odgadnąć: czyli ona kiedykolwiek los swój, przy ślubnym ołtarzu, złoży w ręce wybranego małżonka? Niechaj matka dzieweczkę raczej od dzieciństwa z tą oswoi myślą: że ją może w dziewiczej koronie do grobu poniosą — i aby myśl ta, że panną pozostanie, nic dla niej nie miała zatrważającego; raczej niechaj w każdej doli umie dodatnią i poetyczną pochwycić stronę. Królowa Elżbieta tem się chlubiła, że na jej grobowcu położą napis: *Tu leży dziewicza królowa.* A jakąż nieokreślenie uroczą postacią jest nasza Wanda!

Niechaj matka wszczepi w córkę swoją to przekonanie: że w każdem położeniu, w każdym stanie, w każdym zakresie można być użyteczną i szanowaną, a i mieć udział w szczęściu, za którem każdemu gonić przynależy.

Silvio Pellico powiedział: „Małżeństwo jest świętością; ależ i celibat jest rzeczą świętą“ — a był to człowiek który wiele przemyślał, przecierpiał i krwawo przebolał, niosąc Bogu i ludziom miłość i poświęcenie.

Przejdźmyż i powody, dla których może *stara panna* za mąż nie poszła?

Jeżeli serce jej nie przemówiło dla żadnego ze starających się o nią, i *nie chciała ręki oddać bez serca,* zasługuje zapewne na nasz szczery szacunek. Jeżeli przez śmierć utraciła narzeczonego i wierną jego pozostała pamięci — nieśmy jej nietylko szacunek, ale i współczucie serdeczne. — Jeżeli w swojem pierwszem uczuciu niecnie zawiedzioną i tem samem jej cała przyszłość zwichniętą, zniszczoną została — winniśmy łzę jej smutnemu losowi. — Jeżeli ją upośledziła natura lub jakie dotknęło kalectwo, należy jej się od nas miłość siostrzanna, bo Bóg dla niej na nas o to woła.

A ileż to dziewcząt pozostało pannami, za któremi i wdzięki i wszelkie mówiły zalety rozumu i serca, charakter i wykształcenie. I dla czego? Dla prostej — niestety! — i najzwyczajniejszej przyczyny: bo nie miały ani wioski, ani listów zastawnych; niemiały posagu żadnego, żadnej sukcesyi na widoku. Znałam dwie śliczne siostry — naprawdę że śliczne, bo je matka natura hojną obdarzyła ręką. Dom, w którym się zrodziły, obfitował we wszelkie dostatki, i dziewczątka zostały na wyższą wychowane i wykształcone skalę. Ale ojciec — niestety! — odumarł je wcześnie, majątek się zaszargał; matka była chorowita i także umarła, właśnie gdy jej córki dorosły. Dobra sprzedane, dla sierot żaden nie został się posag. Biedaczki po obcych bawiły domach, u familii dalszej, więc i wcześnie szkołę życia przechodziły. Łagodnego usposobienia i *wychowane dobrze,* potrafiły zastósować się do wszystkiego, w czem je i *prawdziwie wyższe* wspierało i utrwaliło wykształcenie, nie *blichtrowe* nie *salonowe* tylko. Bo kobieta z prawdziwem wykształceniem umie zastósować się do wszystkiego wszędzie i zawsze: znosić i łagodzić obce grymasy i swary namiętne, bez ubliżenia własnej godności; potrafi pracować, gdy ją okoliczności do tego zniewolą, obok oddawania się zabawom umysłowym, w których czerpie siły do wytrwania i otuchy w niedoli— Panienki o których wspomniałam, podobały się powszechnie. Młodzież wielbiła ich wdzięki, zalety i wykształcenie; szukano ich towarzystwa — dobroć i życzliwość jednała im przyjaciół... a wszelako pozostały pannami — *staremi pannami.*

Może ktoś zawołać: „A panny, które przebierały w kawalerach, jak w ulęgałkach?!“ — Prawda, że na nich jakiś cięży zarzut! Ale... ta, która przebierała, nie pokochała — wniosek nader prosty a skoro tej iskierki zkywało w jej sercu, to i lepiej, że żoną nie została.

Dalej powiedzmy. Jeżeli panna pomiatała młodzianami, starającymi się o jej serce i rękę przez zalotność: wina *poniekąd* spada i na tych, którzy ją wychowali; jeżeli nią powodowała oschłość serca, brak uczucia: natura była dla niej macochą, niestety! — jeżeli to czyniła przez wyrachowanie, upatrując stanowiska wyższego i bogactw, a pozostała się *na koszu* — toć i poku-

tuje za grzech ten, a wszakże i w tym razie ci, którzy ją wychowali, nie pozostali bez winy.

Śmieszność wprawdzie otoczy *starą pannę*, jeżeli obok lat dziesiątek kilku zachowuje młodości pozory: gdy stroi się w róże, siada w gronie młodych dziewcząt zaledwie rozwitych, i niby jeden z niemi tworzy wieniec; gdy skacze, i słodkie robi oczy.

Są to zawsze wyjątki — a niechaj nas i taka nie śmieszy; raczej litosnem obejmijmy ją uczuciem. Ona pozostała się przy matce, starszej siostrze, lub ciotce zawsze tą Zosią, Rózią, Kocią, którą była mając lat piętnaście. Dzień jeden upływał jej za drugim; w jednem i tem samem przeglądała się zwierciadle; jedne i te same zatrzymała zwyczaje — i obyczaje — i zanim się spostrzegła, już 30—40—50 wiosen ubiegło: nie dojrzała zmarszczek na licu; niedojrzała jak jej zgrubiały lub przeciągnęły się rysy; jak płeć pożółkła i kształtna zmieniła się kibić. W *domu* jest ona zawsze jeszcze *Zosią*, *Rózią*, *Kocią* — i tylko ją obcy widzą, jaką jest rzeczywiście; dla obcych tylko róże w jej włosach posiwiałych, przy płci pożółkłej i pomarszczonej, stają się śmiesznością. Ona tego wszystkiego nie widzi, nie spostrzega, nie zastanawia się nad sobą, i zawsze jeszcze *jakąś* przyszłą cieszy się nadzieją. Nie widzi tego i matka kochająca, bo zawsze jednakiej miłości okiem na nią spogląda: Nie śmiejmy się przeto, lecz pobłażajmy!

Jeżeli matka od dzieciństwa właściwie poprowadzi dziewczynkę, to zapewne ustrzeże się tych śmieszności, gdy *starą panną* zostanie. Potrzeba, by umiała patrzeć na siebie, by umiała zastanowić się nad sobą, by umiała ze swoim pogodzić się losem — a tego wszystkiego nabędzie, gdy dobrze poprowadzoną zostanie. Niechaj jej matka wskaże powyżej wymienione śmieszności, którym nieraz *stara panna* podlega (zawsze tu mowa o wyjątkach), bez wyszydzenia ich wszelako, — ażeby sama podobnych uniknęła, jeżeli jej przeznaczenie odmówi imienia żony.

DOMNA ROZANDA.

Opowiadanie historyczne;

przez

KAROLA SZAJNOCHĘ.

(Ciąg dalszy).

IV. Swaty kozackie.

Waśń z przemożnym sąsiadem Koniecpolskim zmusiła Kozaka Chmielnickiego szukać bezpieczeństwa osoby na niedostępnych ostrowach Dniepru. Tułało się tam podobnież kilkuset innych zbiegów, wywołańców, hultajów. Za wodza od nich przyjęty, jął Chmielnicki podżegać lud okoliczny, odgrażać się panom polskim. Zniepokoili się tem magnaci, a między nimi i owe trzy domy pańskie, które temi czasy ubiegały się o Rozandę. Wszystkim trzem zdało się rzeczą konieczną, wystąpić z całą grozą przeciw buntownikom na Niżu. Ostatni z naszych pretendentów o Domnę, hetman polny kor. Kalinowski; tudzież stryj drugiego konkurenta, tajemniczego książęcia Dymitra na Wiśniowcu, sławny książę Jeremiasz Wiśniowiecki, byli zawsze wrogami niesforności kozackiej; ojciec zaś najwcześniejszego z zalotników wołoskich, Piotra z Potoka, hetman w. kor. Mikołaj Potocki bez wiedzy króla postanowił zgnieść Chmielnickiego.

Tymczasem nieprzewidziany obrót wypadków samemu hetmanowi otworzył zgubę, Chmielnicki zażądał i otrzymał pomoc tatarską, z którą wystąpił do boju z wojskiem koronnem. W bitwie u Żółtych-wód poległ syn hetmański Stefan Potocki, pod Korsuniem ledwie nie całe wojsko polskie zginęło od Kozaków i Ordy. Obaj hetmanowie, Potocki i Kalinowski, dostali się w niewolę, poszli dźwigać więzy tatarskie w Krymie. Chmielnicki ujrzał się nadspodziewanie zwycięzcą całej rzeczypospolitej, wodzem półmilionowej rzeszy nadbiegłych zewsząd tłumów nierządu, buntu, pogaństwa. Jedna z nierzadkich na tem pograniczu burz barbarzyńskich wywróciła nagle ręką kozacką i tatarską cały dotychczasowy stan rzeczy — jednem płomiennem morzem zniszczenia szeroką przestrzeń krajów zalała.

Upojony wielkością swoją Chmielnicki rozpasał się w najdziksze zamysły pychy. Fortunny przymierzem z Ordą, zawiązał stosunki z dalszem pogaństwem w Carogrodzie, przyrzekał poddać się sułtanowi. Pogaństwo nawzajem poduszczało go w szalonych zachceniach jego ambicyi, obsypało go wdzięcznemi poselstwy, upominkami. Czauszom sułtańskim towarzyszyły na Ukrainę poselstwa hołdowników sułtańskich: wołoskie, mułtańskie, siedmiogrodzkie. Od Carogrodu przez Wołoszczyznę nadciągnął do Czehryna fałszywy patryarcha konstantynopolitański, niosąc błogosławieństwo prawowiernemu pogromcy Lachów. Obozowa stolica Chmielnickiego stała się miejscem zebrania najpodejrzańszych przybyszów, kuźnią najnieżyczliwszych Polsce zamachów.

Sam władzca stolicy uroił się powołanym od Boga do obalenia dotychczasowego stanu rzeczy w tych stronach. „Boh mi to dał!“ — gromił głosem Atylli nasuwane mu przestrogi umiarkowania. „Boh mi to dał, i mij brat, dusza moja, sokoł mij Islam Giraj, car ordy krymskij.“ Z nim w nierozłącznej przyjaźni tuszył sobie Bohdan zwojować całą Polskę, a potem podzielić się nią z sąsiadami: Książę na Siedmiogrodzie Rakocy zająć miał Kraków, Szwedowi przeznaczona była Polska północna, Kozakom pod opieką Ordy i Turków pozostałaby południowa. Toć nie masz miru dla Zaporoża bez takiej opieki „sokoła“ Islam Giraja w Krymie i sułtana wielkiego w Carogrodzie, zkąd tylu posłów tatarskich i sułtańskich niosą teraz hetmanowi zaporozkiemu raz po raz upewnienia miłości i pomocy.

Po takich naradach z posłami zagranicznymi spędzał Bohdan całe noce na pijatyce i wróżbach w kole czarownic. Zapytywano losy o wszystkie wypadki i osoby, a każda wróżba wypadała pomyślnie. Jeszcze w tym roku przepowiadały mu czarownice wielką wojnę i wielkie szczęście na wojnie. Uradowany Bohdan wyśpiewywał dumy pijane, a nazajutrz rano kazał prowadzić się do cerkwi, i legał tam krzyżem na gołej ziemi, dziękując Bogu za jego cuda. Natenczas ów za patryarchę udający się szalbierz wzywał go od ołtarza wielkiego do komunii, na którą gdy Bohdan przystać nie chciał, jako nietrzeźwy i niespowiadany dziś wcale, fałszywy patryarcha dawał mu powszechne rozgrzeszenie, i wołał: *„Idy pereczyszczaj się hetmane!“* Zaczem przystępował Bohdan do sakramentu, we wszystkiem zaś wojsku kozackiem grzmiały okrzyki niewymownej radości, iż podejrzany o skłonność do przyjęcia islamu hetman przystąpił do komunii z rąk potryarchy. I bito ze wszystkich dział na tryumf, wołając w uniesieniu po całem mieście: *„Zbawytel nasz hospodar, wełykij hetman preczyszczajet sia!“*

Dał też włóczęga patryarszy wdowcowi Chmielnickiemu bez rozwodu ślub z cudzą żoną, z panią podstarościną Czaplińską, gdy pierwszy mąż Czapliński żył jeszcze w Polsce. Któryto pospiech był na wszelki wy-

padek tem mniej potrzebnym, ile że ani szczęście domowe ani względy polityki nie zniewalały do tego. O niewielkiej bowiem miłości pomiędzy nowymi małżonkami bliska przekonała już przyszłość, dwóch zaś dziedziców swojej politycznej wielkości, rodzonych synów Tymoszka i Jerzego, miał Bohdan już z pierwszej żony. Owszem pracował on właśnie nad ustaleniem losu obudwóch synów, i mianowicie starszemu Tymoszkowi okazałą za granicą układał przyszłość.

Byłto młodzieniec dziki, nieokrzesany, bez żadnej znajomości świata i obyczajów. Swoi nazywali go paliwodą, u obcych miał on reputacyę gbura, nic dobrego, łotrzyka. Z macochą Czaplińską ustawicznie się wadził Tymoszek, a gdy ów mniemany patryarcha wyprawił do niej czerńca z darami, rozpustny pasierb upojonemu wódką posłowi brodę świecą opalił. Nie psuło to jednak podobnież rubasznemu ojcu Bohdanowi serca do syna, i mając właśnie u siebie wysłańców od hospopara wołoskiego Bazylego Lupuła, nasłuchawszy się przybyłych z nimi wieści o jego skarbach, umyślił wyswatać Tymoszka z hospodarówną Rozandą. Najpierwej bogaty posag wołoski, później za wolą teścia lub bez niej następstwo na Wołoszczyźnie, wreście nietrudne przy łasce Porty widoki na sąsiednią ziemię multańską, miały w rozpłomienionej wyobraźni ojcowskiej uzupełnić z kolei przyszłą fortunę Tymoszkową.

Niezwłocznie też wyprawieni zostali swatowie kozaccy o Rozandę do Jas. Przyjęto ich tam z podziwieniem, bez najmniejszej chęci uczynienia zadość żądaniu. Jakkolwiek panujące w Wołoszech domy książęce nie celowały zwyczajnie dostojnością rodową, kozaczych przecież prostaków, jak Tymoszek, mierzyły one wzrokiem nazbyt wyniosłym, aby dopuścić myśli o spowinowaceniu się z nimi. Hołdami Potockich i Wiśniowieckich otoczona Rozanda, wzdrygnęła się na wzmiankę o poślubieniu paliwody z Czehryna, który brody opala czerńcom. Ojciec hospodar wymówił się swatom kozackim, iż córka jego zostaje pod zwierzchnictwem Porty tureckiej, bez której zezwolenia nie może on rozporządzać jej ręką.

Z niemniejszem zadziwieniem, jak w Jasach, przyjęto wiadomość o wołoskich konkurach Tymoszka w tych dworach polskich, które same podobnem tchnęły życzeniem. Oburzyli się zuchwałością kozacką, mianowicie obaj hetmani polscy: Potocki i Kalinowski, tamten jako ojciec starającego się o Domnę wołoską syna, ten jako przyszły o nią konkurent w własnej osobie. Dzięki ogromnym sumom pieniędzy, mnogim różnych osób zabiegom, a między temi głównie samegoż hospodara Lupuła, wyszli obaj wodzowie polscy od niedawna z niewoli krymskiej, i... uderzeni wieścią o wołoskich zamysłach Chmielnickiego, stali znowuż w polu naprzeciw niemu, pilnując bacznem okiem wszelkich jego poruszeń. Ale jeśli trudno już było sprostać Chmielnickiemu siłą oręża, o ileż nieskończenie trudniejszą okazało się rzeczą zbadać wszystkie jego chytrości, dotrzymać kroku rozkielznanym wybrykom tej wódką i szczęściem pijanej głowy.

Nieodstraszony rekuzą hospodara Chmielnicki, wysłał jednocześnie prośbę do sułtana o rękę Domny dla syna, i jął czynić wielkie przygotowania do wojny. Na pozór miała to być wojna z Moskwą, głównie z podniety Tatarów i w towarzystwie z nim podjęta. Gdy jednak nadeszła pora wtargnięcia do ziemi nieprzyjacielskiej, powiodło się Bohdanowi skłonić Tatarów do wyprawy w stronę całkiem przeciwną, do napadu na Wołoszczyznę. Nim jeszcze przybyć mogło zezwolenie sułtańskie z Carogrodu, przedsięwziął zuchwały ojciec Tymoszka ponowić pierwsze swaty do Jas — ponowić w kilkadziesiąt tysięcy Ordy z Kozactwem. A wierne mu dotąd szczęście i temu szalonemu zamachowi nie odmówiło pomocy.

Ku srogiemu zdumieniu nieostrzeżonego o niczem hospodara i czuwających nad Bohdanem hetmanów polskich rozległ się pod koniec lata r. 1650 odgłos nagłej wyprawy tatarskiej i kozackiej na Wołoszczyznę. W miejsce pierwszych swatów z nieprzyjętem pozdrowieniem pokoju wtargnęło teraz w granice Lupułowe 15,000 Kozaków pod Bohdanem Chmielnickim i 20,000 pogaństwa pod Nureddynem sułtanem, z groźbą zniszczenia całego kraju. Z obawy, aby stojący pod Kamieńcem hetman Potocki nie przyspieszył w pomoc haspodarowi, uradzili zbrojni swatowie dwoma osobnymi zagonami odprawić swoje dziewosłębiny ogniem i mieczem. Najpierwej wystąpić mieli do walki z hospodarem Tatarzy, Bohdan zaś z Kozakami podjął się stać tymczasem u granic na straży przeciw Potockiemu — potem przyjść miała kolej popisów na Kozaków.

Zaczem uderzono w istocie na hospodara dwoma strasznymi szturmami o rękę córki. Za późno już było śmierzyć zbrojnych swatów dobrowolnem ofiarowaniem zaślubin. Sprzymierzeni Kozacy i Tatarzy odgrażali się teraz nietylko zdobyć sobie Rozandę, ale detronizować samegoż ojca. Nieprzygotowany Lupuł miał zaledwie 6000 lada jako uzbrojonej milicyi, z którą niepodobna było stawić czoło o tyle przemocniejszej napaści. Opuścił więc z całym domem stolicę i uciekł się do zwyczajnego ratunku Wołoszy w niebezpieczeństwie, tj. do schronienia się w lasy. Hospodarowa z córką Rozandą, z resztą dzieci, i ze sławnemi skarbami domu swojego, znalazła przytułek w warownym zamku soczawskim. Hospodarowi z garstką żołnierstwa pozostało tylko zasiec się po wołosku w przyległych zamkowi borach, zkądby w razie ostateczności dać mógł jaką taką odsiecz rodzinie.

Na rozwarty łupiezcom kraj padła straszna plaga tatarska. W jednej chwili rozsypało się pogaństwo po całej ziemi, plądrując, paląc, pustosząc wszystkie zakątki. Kupy mieszkańców z dziećmi, z całem dobytkiem, szły długiemi rzędami w niewolę krymską. Zapalone i zrabowane miasto stołeczne Jasy, zamieniło się w zgliszcza. Cała starannie od lat kilkunastu zagospodarowana przez Lupuła Wołoszczyzna, stała się jednem nieprzejrzanem pogorzeliskiem. Schroniony w zasiekach leśnych hospodar, porozsadzał liczne zwiady u wierzchołków najwyższych drzew, i zapytywał co chwila, z której strony widać nowe dymy pożarów? a tu w którąkolwiek stronę sięgnęło oko, zewsząd jednocześnie wzbijały się kłęby pożogi — wszędzie niebo jedną krwawą pałało łuną.

Przy zupełnej bezbronności kraju mógł nieprzyjaciel grasować w ten sposób jak długo chciał. Dla zapobieżenia dalszej ruinie wysłał hospodar orędowników do Nureddyna sułtana, ofiarując bogaty okup, jeśli Orda niezwłocznie opuści ziemię. Obciążone zdobyczą Tatarstwo okazało chęć do układów. Zdobywanie grodów warownych, a zwłaszcza niedostępnych zasieków bukowińskich, było zawsze wstrętną rzeczą pohańcom, nad którą szło teraz bardziej o bezpieczne uprowadzenie nagromadzonych już łupów. Zgodzono się więc na okup kilkakroć stutysięcy talarów, po części natychmiast wypłaconych. A, by pozostałej reszty okupu nie postradać, zabrała się chciwa Orda czemprędzej do odwrotu, i nie troszcząc się o dalszy los swoich sprzymierzeńców kozackich na Wołoszczyznie, wróciła obładowana plonem do Krymu.

Pomieszało to szyki czuwającym na granicy Kozakom, ale nie zbiło z terminu Chmielnickiego. Przestał owszem obawiać się już Polaków pod hetmanem Potockim, który mimo szczerą ochotę nie mógł dać pomocy spodziewanemu teściowi swojego syna. Doszedł go w tej mierze wyraźny zakaz królewski, zalecający wstrzymać się od wszelkiego udziału w teraźniejszych zajściach wołoskich. Czem ubezpieczony Chmielnicki wystąpił bez Tatarów na pole walki, do podjęcia przeznaczonej sobie powtórnej po Tatarach napaści na hospodara. Nim jeszcze Wołosza ocknęła się z trwogi pogańskiej, zagrzmiała nad nią druga burza 16,000 swatów kozackich.

I tym razem niepodobną była obrona. Zniecierpliwione długą bezczynnością Kozactwo, rzuciło się pod swoimi wodzami Doroszeńkiem, Nieczajem, Puszkareńkiem, do zdobywania reszty pozostałych po Ordzie łupów. Chmielnicki zamierzył przedrzeć się do zasieków samegoż hospodara, opanować Soczawę z Rozandą i skarbami. Naprożno upomniał go Lupuł przez posła, aby szanował ziemię sułtańską, której naruszenie nigdy nie ujdzie kary. Naprożno też było oczekiwać posiłków polskich, a tem mniej łudzić się jakąkolwiek pomocą własnego ludu. Przyszło ostatniego chwycić się środka, i dobrowolną zgodą na wszelkie wymagania nieprzyjaciela uniknąć krwawego do niej przymusu tysiącem nowych, zabójczych klęsk.

Udał się do Kozaków orędownik wołoski z warunkami pokoju. Obowiązał się Lupuł wydać córkę za Bohdanowego syna Tymoszka, i wypłacić pewną sumę okupu, byle Kozacy ustąpili coprędzej. Chmielnicki przyjął ofiarę, domagając się wzajemnie jak najrychlejszego dopełnienia przyrzeczeń. Zgodzono się przy ostatecznej umowie za pośrednictwem dwóch urzędujących przy dworze hospodarskim Polaków, aby już we trzy miesiące od zawarcia pokoju, tj. zaraz po Bożem narodzeniu r. 1650, odbyły się zaślubiny hetmanica Tymoszka z hospodarówną Rozandą. W zakład wiernego dotrzymania ugody wydani zostali Chmielnickiemu czterej najmożniejsi bojarowie wołoscy, pomiędzy którymi rodzony synowiec hospodara Lupuła. Wypłacono też Kozakom umówione pieniądze okupowe. Ze względu na łatwość hospodara w przyjęciu żądań ważniejszych były one o wiele mniejsze od okupu danego Ordzie.

Główną ofiarę umów swadziebnych, młodocianą Domnę Rozandę, nikt nie pytał o zgodę. Mimo ojca przewodniczącego układom, mimo tylu milszych prośb o jej rękę zkądinąd, okazała się w najsmutniejszem świetle cała sieroca niedola jej położenia. Wbrew kłoniącemu się ku stronom polskim sercu, narzucał los rubasznego oblubieńca od Niżu, a bliskie dzisiejszych zdarzeń następstwa groziły inną jeszcze niewolą z trzeciej strony, z więzień Stambułu. Jedyną pociechą, jaką niebo dozwoliło hospodarównie osłodzić sobie dzisiejszą gorycz swatów z Tymoszkiem, było wyraźne zastrzeżenie w umowie z Kozakami, w jakim stroju i w jakiej kompanii przybyć miał pan młody na wesele. Niezawodnie w kole żeńskiego dworu pani hospodarowej i jej córki wylęgły, byłto warunek odpowiedni zaiste młodocianemu wiekowi i takimże upodobaniom Rozandy, ale jakże sprzeczny z tragicznością jej przeznaczenia!

Zawarowano tedy osobnym punktem ugody, aby narzeczony stanął do ślubu po polsku, w polskim stroju, z polską kompanią. „Tą jednak kondycyą ma się to wesele odprawiać“ — donoszono sobie w listach z nowinami ze Lwowa — „aby syn Chmielnickiego ze szlachtą polską i polityką naszą na wesele przyjachał, czego pewnie dokaże, bo ma wiele szlachty przy sobie, którzy go polityki uczyć będą.“ W takim zaś razie mógł Tymoszek o wiele życzliwszego przyjęcia spodziewać się u Rozandy, i byle w ogólności umiarkował z czasem swoją szorstkość kozaczą, gotowa była dziecinna Domna wołoska wypogodzić czoło losowi. Do tylu bowiem innych smutków życia ludzkiego pod zmiennem niebem tutejszem należała i ta niepochlebna następność, że przyzwyczajone do ciągłej zmiany serca mieszkańców, osobliwie serca tak młodociane jak naszej Domny, traciły nakoniec władzę stałego przywiązania się do tych samych przedmiotów, stawały się również niestałemi, zmiennemi, jak samo niebo.

I jakby w istocie jakimś prądem coraz nowych zwrotów losu porwanej, przyszło teraz biednej narzeczonej Tymoszka poniewolnie w coraz nowe strony zwracać się sercem i krokiem, najboleśniejsze z kolei ponosić zmiany. Miotając nią z dziwną szybkością po wszystkich krańcach otaczającego Wołoszę świata, zmusiła ją ta sroga burza swatów kozackich zagościć także do czasu za kratami pałacu cesarskiego w Stambule.

(C. d. n.)

W JASSYRZE.

(Poemat historyczny),

JANA KANTEGO TURSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

VII.

Straż przy hetmanie była czujna, baczna —
Ale baczniejsza jest miłość opatrzna,
Hetmańska godność, wzrok i twarz spokojna,
Choć sam bezbronny — taka była zbrojna,
Że żołnierz Turczyn, choć widział w nim jeńca,
Drżał, gdy się hetman ku niemu przybliżał —
I bał się... nie już jako odszczepieńca,
Lecz jako wodza... drżał, i czoło zniżał.

Jest w oku człeka światłość jaśniejąca
Blaskiem zwycięzkim, upokarzająca —
Duszy się w oku potęga źwierciedli...
Gdy hetman spojrzał, wszyscy Turcy bledli —
I tacy byli korni z swem zwycięztwem,
Jak gdyby hetman był dla nich hetmanem,
I tak ulękli jego znanem męztwem —
Że, choć surowo mieli nakazanem
W żadne się z jeńcem nie wdawać rozmowy,
Gdy do nich mówił, pochylali głowy.

Duch wielki taką ma nad ludźmi przemoc,
Że go i wrogi, choć nie chcą — czcić muszą,
Chcących go skrzywdzić, nieznana im niemoc
Przejmie ich serca, i osłabi duszą —
I mimowolnie czcząc w nim wolę Bożą,
Z bojaźni, albo z instynktu się korzą.

Hetman, na barce płynąc, w koło siebie
Miał liczną służbę. Ku ważnej potrzebie
Użył swej władzy tajemnej nad niemi,
Pragnął on: choćby sercem ze swojemi

Złączyć się w kraju, i dać wieść o sobie
Tym, którzy po nim tęsknili w żałobie,
Nie wiedząc, czyli zasnął pod kurhanem,
Czyli jassyru jarzmo go przygniata? —
Chciał się podzielić dolą, co mu splata
Wieniec męczeńskiej zasługi przed Panem.

W hordzie tureckiej był Tatarzyn młody,
Drugim niezwykła krasiła go żywość,
W licu mu kwitnął kwiat pięknej urody,
A z oczu jasnych — świeciła uczciwość.
Ujrzał go hetman, jego przenikliwość
Ufać kazała w szczerość młodej cnoty,
Zbliżył się k'niemu. Tatarzyn służbisty
Skłonił się. W oczach blask mu świecił czysty,
Blask uczuć duszy, jasny, piękny, złoty.
Hetman to widząc, myślił: dziarski młodzian!

— „Chciałbyś ty moim być, kiedy powrócę
„Do swego kraju z tej waszej niewoli?“
Rzekł — a Tatarzyn rumieńcem przyodzian
Skłonił się niżej. — „Ja w morze się rzucę,
„By zrobić zadość waszej panie woli!“
Wołał w kąt barki oddalon od tłumu
Swoich tureckich braci towarzyszy,
„Mówcie! co chcecie?... tu nas nikt nie słyszy...“
(Okrom piękności nie brak mu rozumu!)
„Chciałbyś ty moim być?... chłopcze poczciwy!
„Tam u mnie w kraju takich jak ty lubią ..
„Będzie ci dobrze! możesz być szczęśliwy.
„Tu... możeć kiedy za twe serce zgubią...
„A tam ci u mnie wszyscy będą radzi —
„Tam moja żona w żalu i boleści
„Rozpacza po mnie. . zawieziesz jej wieści,
„Ona na pierwszem miejscu cię posadzi —
„I złota dosyć da! i poczcić każe,
„A ja, gdy wrócę... łaską cię obdarzę
„Moją serdeczną — łaską i wdzięcznością...
„No! chcesz być u mnie?“

A Tatarzyn młody
Wzruszon powagą i tknięty miłością,
Rzekł: „Panie, użyj mnie do twej wygody!
„Wszystkoć uczynię, mnie tutaj u Turka
„Jakoś nie służy; chętnie stan odmienię —
„Mojego władzcy dobra, piękna córka
„Ucieczkę moją ułatwi: przez stepy
„Na koniu pognam tatarskim jak strzała,
„Na wszystką bojaźń ja zostanę ślepy,
„I twoja pani będzie wieści miała!“
— „Bóg z tobą chłopcze! — rzekł hetman rozrzewnion,
„Przysługa twoja nie pójdzie ci marnie.“
— „Panie! — Tatarzyn wołał: jam upewnion,
„Masz, pisz! — tymczasem zabawię figlarnie
„Mych braci miecza, głupich towarzyszy.“
I dał mu papier, ołówek — i zwinny
Wkręcił się w szereg... szlachetny, uczynny,
Wesół... bo zdało się mu, że już słyszy
Szum wichru stepów... i, że serce bije
Nadzieją szczęścia — tam, pod polskiem niebem,
I roił... że tam na nowo odżyje,
Żywiąc się polskim, przyjacielskim chlebem.

Zrobił jak marzył... nazajutrz z szeregu
Młody Tatarzyn niewiedzieć jak zginął;
A gdy z hetmanem dobili do brzegu,
On już do Polski na czajce popłynął.
He hej! tam w młodej Tatarzyna duszy
Sto światów nowych miga się i świeci...
Jarzmo tureckie marzeń nie zagłuszy,
A on jak orzeł... stepem sobie leci.
Młodość, i skryte szczęście serca — razem
Tak mu świat polski cudnie malowały,
Że mu się rajskim wydawał obrazem,
I jak do raju gnał Tatarzyn mały —
Hetmana modły jak anioł go strzegły,
Że go tureckie straże nie ubiegły.

VIII.

Cóż to za wieża — jako chmura czarna,
Piorunem śmierci i trwogi ciężarna,
Nad przepaścistą stanęła otchłanią,
A za nią — przed nią... fale się bałwanią?
Lecz jakby czuły w niej śmierć lub zarazę,
Tak odbijają się od jej stóp z trwogą —
A ona dumna — mszcząc taką urazę,
Depce je za to swą kamienną nogą:
Czy jaka burza szalonych żywiołów,
Czy piorun zemsty z granitu ją wykuł?
To kul tureckich oszczędzony ołów,
To czarna wieża, straszna — to Jedykuł.
Oczami swemi, jak paszcza zajadła,
Snać, jak namiętnie jeńców sobie kradła,
Nienasycona, żarłoczna — i dzika
I dziś ofiarę nieszczęsną połyka.
I dziś ta krwawa Jassyru stolica
Przyjęła w swoje macierzyńskie łono
Nowego jeńca. Posępna wieżyca
Rozradowała swe kamienne lica.

Jej dumny aga, gdy mu oznajmiono,
Że hetman młody Jedykuł zagości,
Kłębami dymu zamglił się z radości,
I wciągnął w siebie ogromny haust mokki,
I chlipnął smacznie, sparłszy się pod boki —
I głową — złotym owitą zawojem,
Kiwał z radości nad tem szczęściem swojem.

I przemyśliwał jakie nowe męki
Wymyślić nowym jeńcom Jedykuły,
Aby za wierność odebrać podzięki:
Godność dla siebie — złoto dla szkatuły.
„Ha! młody hetman! zawieść go do sali,
„Gdzie jedenastu znajdzie towarzyszy —
„Tam niech się wszystkim polską mową żali,
„Żaden go z jeńców, chociaż głos usłyszy,
„Nie pojmie — wszyscy obcy między sobą —
„Mogą się z swoją rozwodzić żałobą.“

Wzięto hetmana; lecz w tem wrogów piekle
On nie czuł bolu, choć dręczon był wściekle —
Na tyle cierpień, jakie dotąd przebył,
On już w swych myślach sobą samym niebył —
Największą była serca jego blizną
Wieczna tęsknota za biedną ojczyzną,
Za sercem, które za nim umierało
Tęsknił — gdy pamięć ojczyznę przyniosła,
Uczucie jedno z drugiem się zmięszało,
I jedna miłość z dwóch miłości — wzrosła.

Śród obcych ciężkiej rówienników doli,
Widział tęsknotę równej z swą niewoli.
A choć się z nimi niezapoznał mową,
Wspólność uczucia zastąpiła słowo —
I byli sobie znajomi tak bliscy,
Jak gdyby matki spólnej dzieci wszyscy;
I serc uczuciem tak się rozumieli,
Że jako bracia do siebie przylgnęli —
Bo są wyrazy takie w ludzkiej mowie,
Których znaczenie poznajesz po dźwięku,
Serce je pojmie i łzami wypowie,
Więcej w nich życia, uroku i wdzięku.
Takiemi były dla jeńców jassyru
Co burzą z szczęścia odpłynęli brzegu,
Jak okręt, w falach tonący bez steru,
Niepowstrzymany w rozpaczliwym biegu...
Takiemi dla nich były dwa wyrazy,
Które powtarzał każdy po kolei —
Dwie przewodnice błędnych wśród oazy:
Jarzmo niewoli i rozkosz nadziei.
Niemi się z sobą rozmawiać umieli,
Żałobni pierwszym, a drugim weseli.
I hetman znalazł tam znośniejszą dolę,
I częściej łzami koił swoje bole.
Dziwne jest żalu i smutku uczucie —
Gdy znajdzie serce, co tak samo boli,
Ulży swą boleść spólną łzą niewoli,
I w spólnej pieśni niewolniczych nucie.
I hetman swoje uczucie tak słodził,
Wróg... miast mu jarzmo zaostrzyć — złagodził.

(C. d. n.)

Dwie Siostry,

(Obrazek z pod Tatrów).

(Dalszy ciąg).

IV.

Bardzo skutecznem lekarstwem na miłość Kuby były gorące okłady Stachowej pięści. Kuba już to przez skruchę, już to przez wstyd unikał Hanki. Mało z nią rozmawiał i to wcale nie o kochaniu, bał się spojrzeć jej w oczy, zgoła niemogła poznać Hanka, że to ten sam Kuba, co za nią tak szalał dawniej. Za to Tereska skorzystała na tej nagłej zmianie Kuby. On taki się zrobił dobry dla niej, taki chętny, tak często przesiadywał przy niej w chacie, tak serdecznie patrzał na nią, że dziewczyna mało się nierozpłynęła z radości. I Kubie Tereska wydawała się codzień piękniejszą i codzień bardziej przywiązywał się do niej.

Hanka z początku obojętnem okiem patrzała na to kochanie, ale powoli, powoli poczęło ją to gniewać, że Kuba tak mało uważa na nią. Nieraz więc, gdy siedział przy Teresce, rzucała na niego zalotne i czułe spojrzenia, ale Kuba niewidział tego; próżno zagadywała go słówkami, Kuba albo nic albo krótko odpowiadał. To już do reszty rozjątrzyło młodą pustotkę.

— Czy ja tak zeszpetniała, że Kuba tak ostygł nagle? — myślała nieraz i latała pytać się przejrzystych wód Dunajca; ale Dunajec zawsze jej mówił, że najpiękniejsza we wsi.

Uśmiechała się wtedy do siebie, upinała w kwiaty jasne włosy, i znowu szła do chaty, gdzie Kuba siedział przy Teresce. Kuba czuł ten czar młodej, zalotnej dziewczyny, to też unikał go oczyma i słowem, bo czuł żeby się niemógł oprzeć powabnej czarownicy, a jemu już tak dobrze było przy Teresce.

— Nic to, nic — pomyślała z gniewem Hanka — nie będziesz ty, będzie inny. Nie ty jeden młody we wsi. „A Stach?“ — szeptało jej sumienie i mąciło spokój i plany dziewczyny.

— To czemuż mnie zostawił samą? — rzekła sobie i odtąd często wybiegała do wsi i z drugą młodą psotnicą umizgały się do chłopców. Ile razy Kuba przyszedł do ich chaty, to ona zaraz brała szycie z sobą i uciekała do swojej nowej przyjaciółki. Niewiem dla czego, ale Kuba nierad był, że Hanka tak przed nim stroni, i nieraz długie sam na sam z Tereską nużyło go, męczyło; choć kochał Tereskę.

Raz wieczór wracając od niej spotkał na drodze Hankę idącą. Przeląkł się jej prawie i ledwie pozdrowiwszy minął prędko. Ale bo też Hanka była dziś inną — smutna, smętna, więc bardziej niebezpieczna.

— Czy ja ci tak bardzo zawiniła Kuba, że uciekasz odemnie? — powiedziała Hanka i stanęła. Kuba się wrócił pomięszany.

— Dawniej Kuba inaczej patrzał na Hankę — mówiła smutnie.

— Ale to był grzech Hanko. Mnie żal Tereski, ona biedna tak mnie kocha.

— A czy ja ci wydzieram Tereskę, ja nie chcę, żebyś ty się ze mną żenił; ale niemiej także żalu do mnie... jeno nieuciekaj tak przedemną, bo to bardzo boli.

— Jak mi Bóg miły, tak ja niemam żalu, jeno...

— No cóż? — pytała dziewczyna patrząc mu w oczy.

— Jeno cię się boję, ty taka krasna — rzekł spuszczając rozpalone oczy.

— Odprowadź mnie do domu — rzekła biorąc go za rękę i pociągła go za sobą.

Kiedy wracał do siebie Kuba, był niespokojny, pomięszany, zły na siebie. Wszedł do izby i nierozbierając się rzucił się na posłanie.

Matka jego staruszka niespała jeszcze. Kuba zasnąć nie mógł, niespokojnie wił się po sienie.

— Co tobie Kuba? — pytała matka — czy ci się co złego przytrafiło na drodze?

— Nie, nie matulu — i podniósł się z leżajska i usiadł:

— Matusiu! mnie to strasznie niepokoi, że my tak zbiednieli, robota mi jakoś nie idzie, a tu trzebaby jakiej zapomogi na zimę, żebyście niecierpieli głodu i pielęgnacyę mieli. Wiecie co matko, ja pójdę na zarobek w doliny.

— Oj synu nierób tego, a cóżby stara matka bez ciebie robiła?

Kuba patrzył w ziemię ponuro.

— Ja muszę iść, koniecznie iść muszę. Hanka i Tereska będą was doglądać i pielęgnować, a ja niedługo wrócę; ale iść muszę.

Matka nic nieodpowiedziała, ale posmutniała starucha. Kuba spojrzał na nią i żal mu się zrobiło.

— Matusiu pozwólcie, pozwólcie iść w doliny. Mnie trzeba się jesienią żenić, a tu pieniędzy niema. Jabym niechciał, żeby tobie i Teresce głodno było u mnie.

Może być, że ta myśl wyganiała górala z chaty, z gór; ale na dnie duszy była jeszcze inna myśl. On kochał Tereskę, a czuł jakiś czar Hanki nad sobą. Kiedy niewidział Hanki to myślał jedynie o Teresce, a wtedy w duszy jego był taki spokój, taka pogoda, jak po spowiedzi; ale oczy Hanki mąciły to niebo, paliły czoło i burzyły piersi jakiemś uczuciem gwałtownem, namiętnem. Więc dla szczęścia Tereski, dla swego spokoju uciekał przed zalotnicą w doliny, chcąc się wyplątać z sideł jej czaru.

Matka kochała bardzo Tereskę, więc nietylko pozwoliła, ale nagliła Kubę żeby szedł w doliny, jeżeli to ma przysporzyć żeniaczkę jego.

Wczesnym rankiem wstał Kuba i poszedł na wieś wywiedzieć się, czy kto nie idzie w doliny? Czterech młodych górali z ojcem gotowało się właśnie do drogi. Kuba umówił się, że pójdzie z nimi, i wstąpił do chaty sióstr pożegnać się z niemi. Serce mu biło gwałtownie kiedy zbliżał się do ich chaty. Hanka stała mu w myślach.

Kiedy wszedł i powiedział im, że jutro odejść musi, Tereska pobielała, jak śnieg na górach, niedowierzająco patrzała w Kubę, i dwie ciche łzy spadły jej na kolana.

— Czy ci to tak źle między nami, że w doliny uciekasz? — pytała go Hanka.

Kuba poczerwieniał.

— Oj dobrze, bardzo dobrze; ale bieda w chacie, a na zimę trzeba zaopatrzenia, i na weselisko jaki grosz potrzebny, prawda Teresko? — rzekł odwracając oczy od Hanki.

— Ja niewiem — odpowiedziała dziewczyna zamyślona.

Kubie duszno było w chacie: blada twarz Tereski i palące oczy Hanki męczyły go. Wstał.

— No zostańcie z Bogiem, a zaglądajcie tam na moją matkę, bo nieboga bardzo zaniemogła.

— A toć jutro się zobaczymy jeszcze — rzekła Hanka — rano idziecie?

— Przed wschodem słońca! czekajcie na mnie u figury za wsią.

Pocałował Tereskę, spojrzał na Hankę, i wybieżał jak wiatr z chaty.

Wieczór cały obie siostry nie mówiły nic z sobą o Kubie. Od owej sceny w karczmie Tereska czuła do siostry jakiś żal, co jej usta zamykał, że się zwierzyć jej nie mogła z żadną myślą. Hanka nuciła po cichu jakąś piosnkę. Tereska trzymała w rękach różaniec, i sztywne oczy wpatrzyła w okno.

Nazajutrz jeszcze było ciemno, kiedy obie dziewczyny zerwały się z posłania i wyszły ku figurze. Hanka ustroiła się jak na święto, umyła twarz w rzece i spletła kosy. Tereska zaniedbana, smutna szła obok niej. Przez tę jedną noc bardzo przymizerniała Tereska. Idąc czuła jakiś żal do Hanki, że i ona idzie żegnać Kubę, że jej odbiera połowę pożegnania.

Niezadługo usłyszały skrzypków granie i przeciągły śpiew koźbiarzy. Śpiew echem błąkał się po lasach, jakby się żegnał z niemi. Niedługo z wąwozu pokazali się koźbiarze. Kuba wybiegł naprzód i przyleciał do sióstr. Hanka wydawała mu się tak piękną, Tereska smutną ale dobrą bardzo, bo wiedział, że ten smutek to za nim, to o niego.

Długo, długo szły z Kubą dziewczyny rozmawiając, aż wreszcie Kuba przystanął i radził:

— Wróćcie już, wróćcie! już daleko wieś za wami, a i mnie trzeba prędzej pognać za moimi.

— Bądź zdrów Kuba — rzekła Hanka — a przywieś nam z dolin jaki suty gościniec.

— Dobrze, dobrze, a tobie co przynieść Teresko?

— Mnie nic, — rzekło dziewczę — jeno sam wróć do nas rychło.

— Dobrze, dobrze — i głos drżał młodemu góralowi w piersiach. Pożegnał obie siostry i nieoglądając się poleciał za towarzyszami swoimi.

Dziewczyny patrzyły za nim długo, aż znikł za lasem.

— Szkoda go! — rzekła Hanka.

Tereska spojrzała na siostrę i przypomniała jej się karczma.

— Hanko! którego ty z nich kochasz? — pytała nieśmiało Tereska.

Hanka rozśmiała się i ściskając siostrę mówiła:

— Nie Kubę, nie Kubę — Teresko!

(Dok. n.)

POLKI LITERATKI.

(Zobacz. *Niewiasta* r. 1860 Nr 7 i 8, i r. 1861 Nr 1, 2, i r. 1862 Nr 2 i 3).

Wilkońska Paulina z Lauczów wyróżnia się w powieściopisarstwie polskiem niepoślednio jako niewyczerpana autorka. Wydała ona te dzieła: *Fata morgana*, Poznań 1859. T. 2. *Godziny rozrywki*, zbiór powieści T. 2. Warsz. 1849. — *Hanna z Grzymałowa* T. 2. Warsz. 1842. *Helena Wróżka.* — Warsz. 1855. — *Irena.* T. 2. Poznań 1857. — *Obrazek* poznański, Lipsk 1857. *Pan Wojski*, Poznań 1858. *Pani Podkomorzyna*, Poznań 1857. *Poranki i Wieczory.* T. 2. Warsz. 1847. *Powieści* T. 2, Warsz. 1859. *Różni ludzie.* T. 2. Warszawa 1855. — *Skalińce*, T. 3. Poznań 1861. *Snopek literacki*, dzieło zbiorowe. Poznań 1857. *Sześć powieści* T. 2. Warszawa 1842. *Tak się dzieje*, T. 2. Wilno 1848. *Wawrzyna.* Petersburg 1851. *Wieś i miasto*, T. 2. Warsz. 1841. *Wiązanka* literacka (zbiór), Poznań 1856. *Pokłosie* (zbiór). Rok 6ty 1861 i lata poprzednie. *Zapóźno i jeszcze dość wcześnie*, T. 3. Warszawa 1846. *Fullerton* N. Midleton (przekład) 1857, W przeciągu 21 lat wydała 21 dzieł, a zarazem zasilała i zasila niemal wszystkie pisma czasowe polskie.

Talent więc jej płodny i niewyczerpany. Początkowe powieści krytykowano ostro, aż mąż musiał wystąpić w ich obronie. *Lewestamm* (Roczn. kryt. lit.) ganiąc, rzucał domysł, iż Aug. Wilkoński wpływał na poprawienie powieści. *Leszek Borkowski*, nie żałując pióra przeciw innym powieściarzom, (Tyg. pols. 1848) wyraża się życzliwie o talencie Wilkońskiej, życzliwiej jeszcze *J. I. Kraszewski* z okazyi *Wawrzyny*, (Gaz. Warsz. 1851 Nr 305). — Talent Wilkońskiej nie uderza oryginalnością pomysłu, powikłania, przeprowadzeniem myśli lub stylistyką; ale ujmuje ku sobie poczciwą dążnością; kierowaniem umysłów niewieścich ku miłości ziemi ojczystej i ową tkliwością w opowieści rozlaną we wszystkich pracach, która sprawia, że jej powieści zrozumiane być mogą odpowiednio tylko przez kobiety, i że pisane są li dla rozrywki i nauki niewieściej.

Między celniejsze powieściopisarki pomieścić należy *Łucyą z Giedrojców Rautenstrauchową*. Powieści jej: romans w listach *Emelina i Arnolf*. Warszawa 1821. *Przeznaczenie*, T. 2, Warsz. 1830. *Ragana czyli płochość ukarana*, Warsz. 1830. nie wróżyły świetnej przyszłości autorce. Nie były to ani lepsze ani gorsze powieści, od niewielu prac tego rodzaju pojawiających się w naszej literaturze. Byliśmy do r. 1830, ubożuchni w powieść, więc lada utwor zyskiwał rozgłos. Rautenstrauchowa zjednała sobie zasłużone imie późniejszemi dziełami, powieściami osnutemi na wrażeniach z podróży. Wydała: *Wspomnienia moje o Francyi*, Kraków 1839. *Ostatnia podróż do Francyi*, Lipsk 1841. *Miasta, góry i doliny*, tomów 5 Poznań 1844. *W Alpach i za Alpami*, T. 3. Warszawa 1847, wyd. 2gie 1850. Nakoniec przekład *P. Stael*: Korynna. Warszawa 1853. — Z tych dwa pierwsze dzieła należą do działu podróży, reszta mianowicie *Miasta, góry i doliny* są opowiadaniem podróży przepełnionem epizodami zajmujących powieści. — Z powieści tej obszerne wyjątki podaje *Przyjaciel Ludu* 1843 i *Niezapominajki* 1844 r. Z opowiadania *W Alpach* podaje wyjątki *Bibliot. Warsz.* 1846 r., a *Przegląd Poznański* (r. 1845), skąpy zazwyczaj w pochwałach, zamieszcza rozległe ocenienie dzieła *Miasta*. — Rautenstrauchowa jest w opowiadaniu swojem już co do samej formy opowieści wcale oryginalną, i nie znam żadnego pisarza w naszej literaturze, któryby nadawał taki zakrój swojej powieści-podróży. — Styl jej silny, jędrny, męzki, wyrobiony, nie niewieści, może nawet za mało uczuciowy. — Opowiada jasno i effektownie. Żałować należy, że mimo iż już w 21szym roku życia wystąpiła z pracami swemi, po dziś dzień, po latach czterdziestu, tak mało prac udzieliła światu piśmienniczemu. Rautenstrauchowa urodziła się 22go czerwca 1800 r. w Warszawie.

Nie bez zalet jest pióro *Anny z Krajewskich Nakwaskiej*. Urodzona r. 1779 w Gołębiu, w lubelskiem, zaślubiona za młodu *Franc. Nakwaskiemu* prefektowi, pisywała pierwotnie po francusku, tłumaczyła powieść *Malwina* (Księżny Wirtemberskiej), dopiero za radą i wskazówką męża swego, zaczęła pisać po polsku. Te okoliczności są powodem, iż nigdy nie nabrała pewności i usposobienia w stylu, francuzczyzna oddziaływała pomimowolnie. Zacna autorka niezrażona trudnościami, nie złamana licznemi straty w rodzinie i długoletnią ślepotą, pracowała do zgonu w r. 1851. — Pomijając jej *Les trois nouvelles*, i pomijając utwory do innego działu należące, wymienimy te jej prace: *Czarna mara* powieść, Warsz. 1841. *Aniela, czyli ślubna obrączka*, Warsz. 1831. Tę powieść przełożył *Kronowski* na francuskie p. t.: *L'Angelique ou l'anneau nuptial*, Paris 1832. Obiedwie powieści zganili ostro krytycy jak *Al. Tyszyński* (Bibl. War. 1841). *Mich. Grabowski* (koresp. liter.) Jakoż powieściami temi nie utrwaliłaby o sobie pamięci, gdyby nie dzieło p. t.: *Obraz Warszawskiego społeczeństwa*. Warsz. 1841, w którem, w pamiętnikowem opowiadaniu odszkicowała z wielką prawdą cały obraz towarzystwa Warszawskiego za czasów Napoleona. Przekazała potomności prawdziwe oblicze epoki, przez nikogo tak dokładnie nie odrysowane. Na podstawie jej pamiętników, tworzył *Fr. hr. Skarbek* słynne *Pamiętniki Seglasa*. — Nakreśliła swój obraz z tak dramatycznym effektem, że z niego przerobił w r. 1844 dramat *Filip Stolzmann* w Krakowie p. t.: Napoleon w Warszawie w r. 1812 — mało co dodawszy z własnej fantazyi. — Dzieło to Nakwaskiej, stawia *Wójcicki* (Hist. lit. ed. 1) obok pamiętników *Soplicy;* za śmiałe to zbliżenie, lubo zasługa pamiętnikowa hardzo wielka. Inne powieści Nakwaskiej odnoszą się do działu prac dla ludu i młodzieży.

Mostowska hr. Anna Olimpia z Radziwiłłów, kasztelanowa raciązka miała długi czas znaczenie w dziedzinie powieściarstwa. *Leszek Borkowski* (Tygod. pols. 1848 Nr 39) odsądził ją od wszelkich zasług, zarzuciwszy okradanie pani *Genlis*, przerabianie niezręczne francuskich powieści. Odsądzenie było niesłuszne, bo oceniając dzieło, należało przenieść się w ową epokę, kiedy pisała, i kiedy niemieliśmy nic lepszego. — Powieści: *Nie zawsze tak się czyni jak się mówi*, Wilno 1806. *Astolda*, romans, Wilno 1807. *Zamek Koniecpolskich*, Wilno 1806. *Moje rozrywki*, T. 3. Wilno 1806. *Posag i Salamandra* powieść z *Wielanda*, Wilno 1806. *Szafir Cudowny* powieść p. *Genlis*. Wilno 1806. *Zabawki w spoczynku*, Wilno 1809, — świadczą o wysokiem wykształceniu Mostowskiej, o obfitości myśli, i stawiają autorkę między pierwszemi pisarzami powieści z początku tego stólecia. Sąd ten uwzględnia porę pisania, co zaś było naówczas dobrem i cenionem, nie zawsze odnosząc to do dzisiejszych wymagań krytyki i do teraz wyrobionego smaku, może być dobrem a nawet znośnem.

Wiadomości literackie.

Szczęśliwe dziennikarstwo węgierskie. „Bolond Miska“ (czasopismo humorystyczne) donosi, że mu z różnych przyczyn, (które wymienia, a między któremi są bardzo pocieszne, jeżeli, cokolwiek z braku zdania i nierozumu wypływa, pociesznem być może) ubyło z Nowym-Rokiem 2,000 prenumeratorów.—Skoro prawda, co pewien finansista mówił, że lepiej mieć 10 milionów długu, niż rzeczywistego majątku 1 milion; tedy śmiem twierdzić, że jest najniezawodniejszą prawdą, iż dla redakcyi lepiej z Nowym-rokiem tracić 2000 prenumeratorów, niż ich nie mieć 500 nowych i dawnych razem. Powtarzam szczęśliwe dziennikarstwo węgierskie, gdy pismo peryodyczne sobie żartować może z ubytku 2000 prenumeratorów. Gdyby u nas najpoważniejszy polityczny dziennik tylu ich stracił, tedy niewydawałby już ani jednego egzemplarza, choćby tylko jako obwieściciela doznanej klęski. Smutna, arcy smutna, że nas nawet Węgrzy w dążności do światła wyprzedzili.

— Pod redakcyą dra Kazimierza Szulca wychodzi w Poznaniu od Nowego 1862 roku *Tygodnik Poznański* w małej ćwiartce Wyszłe dotąd numera każą pismu życzyć rozszerzenia dla jasnej, prawej i poważnej jego dążności.

— W Krakowie zaczął wychodzić pod redakcyą p. Julii Goczałkowskiej, (niegdyś redaktorki *Wianków* we Lwowie) *Wieniec*, Dwutygodnik Literacki, tak dla mężczyzn, jako też i dla Płci Pięknej, jak to z przemówienia się redakcyi w 1szym numerze wyrozumieć zdołaliśmy.

Do tego numeru dołączają się mody paryskie dla Prenumerujących na nie — w lutym dołączą się DESENIE dla wszystkich Zacnych Prenuwerantek bezpłatnie.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.